

Pisanie felietonów ma plusy dodatnie, ujemne i ambiwalentne. Do ujemnych należy powtarzający się zgodnie z cyklem wydawniczym głos w telefonie: "To na kiedy możemy liczyć? Dłużej czekać nie możemy". Stres z tym związany łągodzi okoliczność niepobierania (zwykle na skutek niepłacenia) honorarium, dzięki czemu takie monitowanie odbywa się bardzo elegancko, a pisanie felietonów staje się "gospodarką opartą na grzeczności" - w sumie: plus ambiwalentny. Plusem ujemnym są za to rozterki: o czym tym razem napisać? Tu z pomocą może przyjść nieśmiała prośba redaktora, żeby felieton nawiązywał do wiodącego tematu numeru. Grzeczność zobowiązuje, nawet jeśli niewiele ma się do powiedzenia na sugerowany temat. W takich przypadkach wielkim plusem dodatnim staje się istotnościowa cecha pisania felietonów, a mianowicie "prześlizgiwanie" się po temacie (jak to zgrabnie ujął autor odpowiedniego hasła w nieocenionej Wikipedii).

To wszystko miało miejsce tym razem; muszę więc "prześlizgnąć" się po mieszkalnictwie. Dobrze się jednak składa, bo niedawno szukając w pawlaczu pozycji o planowaniu zintegrowanym (temat po 50-ciu latach wraca w nowej stylistyce na salony) natrafiłem na zeszyt PAN-owskiego Komitetu Prognoz Polska 2000, z artykułem Juliusza Goryńskiego "Postęp w urbanistyce i architekturze" z roku 1977, który świetnie mi "zapasował" (to jest mój osobisty wkład w rozwój języka polskiego, zainspirowany słowem "wybrzmieć").

Zanim o tym, co w artykule, kilka słów o jego autorze. Profesor Juliusz Goryński należał do osób, które w PRL- u można byłoby zaliczyć do - jak byśmy dzisiaj powiedzieli - establishmentu, a zarazem stanowiących zaprzeczenie funkcjonującego stereotypu o ludziach doń należących (nb. takich "zaprzeczeń", wbrew pozorom, wcale mało nie było). Wszechstronnie wykształcony, po wiedeńskiej architekturze i historii sztuki, jeszcze przed wojną zaangażowany w społeczne działania na rzecz poprawy sytuacji mieszkaniowej. Po wojnie był i wicewojewodą warszawskim, i jednym z organizatorów i szefów Zakładu Osiedli Robotniczych, i wiceministrem, który na znak niezgody na oszczędnościowe budownictwo podał się do dymisji. Na tym ostatnim zyskała nauka; profesor zajmował się ekonomiką budownictwa i polityką mieszkaniową, a także architekturą, urbanistyką i planowaniem regionalnym. I o wszystkim tym świetnie mówił i pisał. Był człowiekiem renesansu... i wiernym palaczem "sportów" . Tym, którzy nie mieli szansy osobiście Go poznać mogę powiedzieć tylko jedno: żałujcie.

No dobrze. Ale dlaczego przywołuję artykuł mający w tytule "urbanistykę i architekturę" skoro ma być o mieszkalnictwie. Otóż to nie pomyłka. Kiedyś nie sposób było wypowiedzieć się sensownie w kwestii mieszkaniowej bez odniesienia do kontekstu architektonicznego i urbanistycznego. To był standard, zapewniający wszechstronność i poziom dyskusji. Warto może na marginesie przypomnieć, że widniejąca na stronie tytułowej przedwojennego organu Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej winieta "D.O.M." była akronimem słów: dom, osiedle, mieszkanie. A pisali doń społecznicy, lekarze, ekonomiści, architekci i urbaniści. Dlatego nie dziwi, że autor związany z PTRM, pisze w przywołanym artykule, że "wnętrza miejskie, ulice i place" powinno się traktować jako "wartość mieszkalną", i dalej współzależnie rozważa standard mieszkaniowy i wzorzec urbanistyczny. I dochodzi do ciekawych wniosków. Takich m.in., że jeśli chodzi o mieszkania to postęp w zasadzie dokonał się już w latach 30-tych ubiegłego wieku, i to z jego udziałem, bo jako "architektoniczny murzyn" projektował wtedy domy w Alei Róż i w Alei Przyjaciół. Domy, w których mieszkania przeznaczone dla lokatorów dobrze sytuowanych (po wojnie przejęte przez lokatorów "dobrze" uprzywilejowanych) pod względem funkcjonalności i walorów użytkowych stały się wzorcem modernistycznego mieszkania, swego rodzaju paradygmatem, powielanym m.in. na WSM-owskim Żoliborzu i, co by nie mówić, w sposób wprawdzie bardzo "sprymityzowany i uskromniony" upowszechnionym po wojnie.

Nieco inaczej widział Juliusz Goryński sprawę wzorca urbanistyczno-osiedlowego, za jaki uważana była od lat 30-tych Karta Ateńska. Jak wiadomo, po wojnie stała się ona przedmiotem powszechnej krytyki. Odpowiadając na postawione przez siebie pytanie, czy jest to krytyka wzorca, czy jego realizacji, znajduje trzecią odpowiedź, a mianowicie, że wzorzec stał się nieaktualny, bo jego autorzy nie przewidzieli skali procesów urbanizacji i z tym związanej eksplozji motoryzacyjnej. No cóż, natura drogowskazów jest taka, że zostają z tyłu. Ale to nie jedyny powód. Jak pisze Goryński, wzorzec Karty Ateńskiej nie brał pod uwagę najzwyczajszej potrzeby do urozmaicenia i różnorodności, a tej nie mogły zaspakajać do bólu racjonalne, wygodne, ale i nudne osiedla mieszkaniowe. Jednocześnie podał w wątpliwość nadzieje, że wyjście z tych sprzeczności "tkwi w ruchu retro i nostalgii".

A jak się sprawy mają dzisiaj? Jeśli chodzi o wzorzec mieszkaniowy to prof. Goryński miał rację. Mieszkania w Alei Róż mają się świetnie. Gorzej ich powojenni lokatorzy, którzy po roku 1990 przestali być "Onymi" i nie stać ich było na czynsz ustanawiany przez "rewłaścicieli". Ich miejsce zajęły renomowane kancelarie prawne, a wśród nich jedna bardzo znana z kłopotów związanych z recyklingiem własnościowym domów.

A poza tym jest dużo lepiej. Udało się bowiem rozwiązać problem współzależności spraw mieszkaniowych i architektoniczno-urbanistycznych. I to w bardzo prosty sposób: wystarczyło

Wpisany przez Paulina Sikorska
wtorek, 16 kwietnia 2019 19:02

uznać, że takich zależności nie ma. Dzisiaj można przyjąć "Krajową Politykę Miejską", w której nie ma żadnych odniesień do polityki mieszkaniowej. I mało kto się temu dziwi. Bo ów rządowy dokument wiernie oddaje rzeczywistość. A ta jest taka, że mieszkalnictwo jawi się naszym decydom i tzw. elitom (a więc, *nolens volens*, i nam) głównie jako problem pozyskiwania terenów budowlanych i kredytów na zakup mieszkania. Pozyskiwanie terenów ma być łatwe, a kredyty opłacalne - oczywiście dla deweloperów i producentów materiałów budowlanych. Proste? ? Proste. Bo taka jest naszą polityka, że ma być prosto i łatwo, a więc, po prostu, ma jej nie być.

Skoro tak, to nie wylewajmy krokodylich łez nad rozpraszaniem zabudowy na terenach podmiejskich i innymi "dysfunkcjami zagospodarowania przestrzennego" (ten piękny eufemizm pochodzi z naukowej monografii KPZK PAN "Studia nad chaosem"). Tylko o jedno proszę, nie kradnijmy pojęć i nie nazywajmy powstałych w wyniku zawiązania się sojuszu dewelopersko-rolniczego enklaw domków jednorodzinnych na polach kapusty osiedlami mieszkalnymi. Podobnie kradzieżą jest nazywanie osiedlami mega struktur sypialnianych z czasów Gierka. Bo jedno i drugie mają tyle wspólnego ze wzorcem, co.... (c.d. porównania po namyśle jednak pominię).

Ale dość tych narzekań, zwłaszcza że pojawiło się światełko w tunelu. To Filip Springer, który okiem reportera widzi więcej i lepiej niż nie jednego "mędrca szkiełko i oko". Widzi i pisze: o planowaniu przestrzennym i architekturze, o miastach i mieszkalnictwie. I co najważniejsze, przypomina i daje do myślenia, a to z kolei inspiruje do działania. W Warszawie i Wrocławiu pojawiają się pomysły i eksperymentalne realizacje osiedli mieszkaniowych, w których ma się mieszkać nie tylko w mieszkaniach, z których nie trzeba będzie wywozić dzieci do przedszkoli i szkół, w których zakupy będzie się robić w sklepie "na dole". Warto się temu przyglądać i kibicować, a przy okazji dzielić się refleksją, że w historii urbanistyki to nie jedyny przypadek, kiedy (na razie nieśmiało) wraca nowe. Może więc nie wszystko stracone.